ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.
Nr 1009

leg. 1148

Zarządzenia i obwieszczenia.

Wiedeń, 1916.

WOJTYGA STANISŁAW 1009 a. 208/35 leg 1148

POZDROWIENIA ŻOŁNIERSKIE

Pismo poświęcone rozrywce żołnierzy

GRÜSSE AN UNSERE SOLDATEN

Wszelkie przesyłki pieniężne wysyłać pod adresem: Starko Łodzia Lachowicz, Wiedeń III., Weißgärberlände 50.

Telefon 21820 i 16113.

Redakcya i Ekspedycya: Wiedeń IX., Canisiusg. 8 10.

Manuskryptów się nie zwraca.

Wychodzi w każdą niedzielę.

Prenumerata półroczna wraz z przesyłką pocztową 4 K 80 h.

Numer pojedynczy 20 halerzy.

Ogłoszenia za wiersz: 1 korona.

Wszelkie przesyłki listowe adresować: IX., Canisiusgasse 8—10.

Wydawca: Starko Łodzia Lachowicz. Redaktor: Roman Hernicz.

Rok 1916. Wiedeń, 20. lutego. Nr. 8.

Franciszek Kolbe.

Z pamiętnika.

Lubiły nas psy.

Gdziekolwiek maszerowaliśmy, zawsze towarzyszyły one naszym plutonom. Były między nimi duże i małe, kudłate i niekudłate, piękne i brzydkie, kundle, jamniki, a nawet psy gończe, słowem, rajem by było oglądać całą tę sforę dla ich zawodowego miłośnika.

Jednak nie odrazu przypuszczaliśmy je do naszego towarzystwa — dla wypróbowania ich wierności i przywiązania, przeganialiśmy je, odstraszali, a gdy i wtenczas wracały, stuliwszy naturalnie ogony, pluton brał każdego z osobna na swoją niepodzielną własność, jeden zaś z nas podejmował się być nowemu przyjacielowi plutonu opiekunem, cieszyły się zwierzątka, skakały, choć przeważna ich część nosiła jarzmo sznurkowe, które ściśle określało maksymalną odległość przyjaciela-sługi, od przyjaciela-pana.

— — — — — — — —

Moskale zasypywali nas formalnie kulami, szrapnele pękały to tu, to tam — istne piekło. Po kilkugodzinnej strzelaninie oglądam się, czy kto z moich liniowych sąsiadów nie poległ i — co widzę?

Na plecach jednego z naszych leżących w tyralierce legionistów siedzi skulony piesek i wyje niemiłosiernie, ilekroć bliżej niego kula przeleci. Właściciel zaś owych pleców, na których ów pies siedział, strzelał z nadzwyczaj wesołą miną, uśmiechając się za każdym zawyciem psa. Widok ten był tak tragikomiczny, żem zwrócił nań uwagę innych.

— Hej, czemu tam twoje dziecko tak płacze? — krzyknął jeden z całych sił, gdyż bitwa głuszyła słowa.

— Bo głodne, a kulek nie chce trawić, bo za twarde — odrzekł z miną filozofa posiadacz czworonoga.

— A sprawisz mu pogrzeb, jeśli zginie?

— Jego się kule nie imają — była odpowiedź.

Strzelamy dalej zawzięcie. Aliści drugi nasz psi towarzysz w krytycznem był położeniu: znalazł się między moskiewską i naszą tyralierką. Lecz o dziwo! za każdą salwą kładzie się na brzuch. Zdumiałem się. Czy to instynkt go broni, czy też ludzkie kształcenie?

Niestety, nagle kręci się w kółko: dostał w nogę. Widząc jego mękę jeden z naszych wymierzył, strzelił i kula

ARCHIWUM M. KRAKOWA

trafiwszy go w łeb, pozbawiła go życia.

Był to pierwszy zabity w owym dniu z naszej strony...

Widziałem potem drugiego. Za nami, między gęsto padającymi rosyjskimi szrapnelami, otoczony był pies parą ślicznych kasztanowatych koni, które ogłuszone biegały na około siebie tak szybko, że na chwilę nie dały mu wybiedz z tego koła, kręcił się biedak, aż wkońcu znalazłszy wyjście, biegł szybko w stronę wsi; nagle pękł tuż nad nim szrapnel... Ani śladu z niego nie mogłem dostrzedz.

Był to drugi i ostatni zabity w owym dniu z naszej strony...

W tej jednak bitwie nabyliśmy przykrego doświadczenia. Moskale, po obecności psów, po ich ciągłem wracaniu w jedno i to samo miejsce, wnioskując o naszym tam pobycie, strzelali już na „pewniaka". Byliśmy więc zmuszeni pozbyć się ich prostym sposobem...

Gdyśmy szli pod Mołotków, już żadnego z nich nie widziałem.

Nie ginęły już odtąd od kul i szrapneli psy, lecz — ludzie....

Rajmund Bergel.

List.

Wołają. . kończyć muszę list,
Spowiedź tajemnych serca drżeń
Wokoło walka... huk i świst ..
Może ostatni to mój dzień.

Spieszno... czas nagli... zamęt ten —
Czyż się nie zejdziem nigdy już?
— — — — — — — — —
Była raz wiosna — złoty sen —
I domek biały, krzaki róż...

...Zmierzch srebrnych świateł tkany mgłą,
Upajający zapach bzów...
Dziś jesień, słota, wiatry dmą
Pieśni o szczęściu brakło słów.

Wspomnienia — granat nasyp zdarł...
Jęk... krew... żegnajcie cudne sny...
Ta wiosna — miłość — marzeń czar
Kochałem — kocham moja — ty..

Przez życia ból, przez tęsknot łzy...
— Ten straszny widok krwawych łon —
Czas idzie mój, huczący, zły —
Umiłowana aż po zgon
Bywaj mi zdrowa!...

Roman Wegnerowicz.

Z walk Legionów.

I. brygada na odpoczynku.

Wtuloną wśród lasów wioskę... zajmuje I. brygada, jako miejsce postoju. Wkraczając tu, widzimy tablicę z napisem: „186 domów, z górą tysiąc dusz".

W długiej wędrówce szlakiem szalejącego huraganu wojny, śladami zgliszcz, po ziemi zoranej labiryntem okopów — z uczuciem pewnej radości wita się ocalałą oazę życia ludzkiego. Tymczasem wkrótce następuje zawód, bo choć „domy"-zagrody ocalały, to jednak druga wiadomość, wyczytana z tablicy, okazuje się mylną — wioska bowiem jest „bezduszna", wyludniona doszczętnie.

Stoją głuche chałupy i spozierają czarnemi lukami okien, pozbawionych doszczętnie szyb i ram. Jacyś nasi poprzednicy zaopiekowali się skrzętnie cennym materyałem, potrzebnym i poszukiwanym bardzo do ziemianek w okopach i na pozycjach.

Stoją otworem zagrody, spichrze i stodoły, tym razem nie zapraszając przybyszów — przeciwnie, od siedzib tych, gdzie niedawno pulsowała praca codzienna spokojnego kmiecia, wieje chłód nieprzyjemy, przykra pustka, która odstraszyłaby z pewnością samotnego wędrowca, jako zjawisko fatalnej klątwy, dziedzina wymarłego życia.

Pierwsze wrażenie atoli szybko przemija — wstępujemy bowiem gromadnie w rolę posiadaczy i gospodarzy siedzib. Wkrótce też wioska ożywia się zgiełkiem — rojno od ludzi, koni, a wreszcie i wozów przeróżnych.

Mamy pozostać tu dłużej — może dni kilka, a może i więcej. Zatem ochoczo wezmą się wszyscy do zagospodarowania chat i wioski, choć nie z mniejszym animuszem branoby się do roboty, gdyby wypadło spędzić tu dzień jeden lub dwa. To wynika z zasady wojskowej, by na postoju był ład i porządek, jak najlepsze w miarę możności warunki spoczynku.

Po wyznaczeniu kwater dla poszczególnych oddziałów sztabu i oficerów, każdy już krząta się w swej zagrodzie, anektuje kąt i pieczętuje miejsce złożeniem nań plecaka, płaszcza lub szabli, zależnie od tego, kto zajmuje chatę — poczem zbiorowo instaluje się kwaterę, wyłączając legowiska, tapczany i łóżka, o czem każdy myśleć musi za siebie, chyba że dla ekonomii miejsca, trzeba zbudować większą pryczę wspólną.

Wkrótce w wielu chatach widać już wstawione okna, znalezione zapewne na strychach i poddaszach większych domków — zapewne siedziby starosty, miejscowego „uriadnika“ i kilku właścicieli sklepów, przeważnie żydów, jak o tem świadczą pozostawione sprzęty i książki do praktyk religijnych. Gdzie brakło okien, tam zastąpiono je przez wstawienie szyb z obrazów lub wreszcie posklecano je z większych odłamków tu i owdzie znalezionego szkła.

Sprzętów różnego gatunku — ław, stołów, a nawet szaf — mamy podostatkiem. Improwizacya więc zagospodarowanej kwatery nie napotyka trudności. Dwa wiejskie stołki w poprzek, wzdłuż kilka desek, a to słoma, wszystko zaś obite z boków ramą — ot i jest znakomite łóżko meblowe, a do tego jakaś kapa na ścianę, słowem — komfort. W komnacie rozstawia się stół, jest i ława z poręczą, z beczki zaś umywalnia.

Niktby nie powiedział, że przed godziną niemal była tu ruina i pustka, tem bardziej, że już na kominie trzaska ogień, rozchodzi się po izbie woń świeżej kawy lub przypiekanych kartofli, w które dość obficie zaopatrzone są doły przy zagrodach.

Nie zapomniano również o zewnętrznym wyglądzie kwatery. — Uprzątnięto i zgrabiono podwórza, a od bramy ku wejściu do chaty przeprowadzono uliczki, obsadzono je świerkami, przywiezionymi z poblizkiego lasu. Na bramach, w wielu miejscach kunsztownie z brzozy zrobionych, mieści się tabliczka z oznaczeniem, kto kwateruje, nad napisem wszędzie widnieje wymalowany lub rzeźbiony orzełek strzelecki. Tu i owdzie wyrasta chata jak z bajki, otulona w strojne świerki, okolona brzozowym płotkiem.

Cieszą się chłopcy ze swego dzieła, gospodarza, jakby zakładali na dobre kolonię własną, krzątają się tem bardziej, że za dni kilka wieczór wigilijny i święta Bożego Narodzenia. Postój w rezerwie złożył się jak najpomyślniej, trzeba skorzystać z okazyi i w miarę możności tradycyjnie spędzić święta przy choince i w gronie najbliższych, tym razem towarzyszów doli-niedoli żołnierskiej.

— Pamiętasz w roku zeszłym? Przygotowania — niespodzianie przychodzi rozkaz. Idziemy pod Łowczówek, a tam opłatek na pozycyi — krwawa wigilia — przypominają sobie.

Niespodzianka rozkazu czyha zawsze w nieznanym fatum wojny, spada często, jak drapieżny jastrząb na ofiarę, przecina wątek życia na odpoczynku, budzi nieraz żołnierza ze snu twardego po znojach, odrywa od rozpoczętego stawiania sobie schroniska, od ciepłej menażki strawy.

Wojna... Wszystko jest niespodzianką, lecz zarazem każdą wieść

przyjmuje się jako zwykły, naturalny bieg wypadków. Dlatego też, gdy wypadł odpoczynek, korzysta się z każdego dnia, z każdej godziny, by żyć bez troski. Beztroska żołnierza, gdy jest po temu okazya, to najcenniejsza krynica, skąd czerpie siły znękany nieraz duch. Beztroska — to często jedyny czynnik hartu, którym odpędza się upiory wojny.

Ta właśnie cecha usposobienia żołnierza nadaje odpoczynkowi tło niezależne od wielkiego zgiełku wojennego. Zda się, iż są to manewry wojskowe czasu, gdy pokój był na ziemi.

Odwiedzają się znajomi z „dobrych“ owych czasów i snują nić wspomnień dalekiego, dawnego już zda się życia, wędrują stąd ku swoim, ku rodzinnym strzechom, niepewni, czy ich tam czeka równa tęsknota serdeczna.

Maurycy Fux.

W szpitalnej sali.

....Mój kres już blizki... czuję... serce [bije
I straszne widma przed oczyma stoją...
Siostro... ja może jutra nie dożyję...
Spełnij, ja błagam, spełnij prośbę moją...

Tu, pod poduszką... ten krzyż i ta [wstęga...
Tu adres... myśmy zaręczeni byli...
Napisz jej... (Boże, śmierć już po mnie [sięga!..)
Żem myślał o niej do ostatniej chwili...

Mgła jakaś dziwna dokoła wyrasta...
Jakieś widmowe kręcą się postacie...
Ogród z kwiatami, a tam wdali, miasta...

Wszystko znajome... Skądżeż wy mnie [znacie...
Siostro, ach!... nóż mi pod serce ktoś [wbija...
Siostro, umieram już!... Ave Ma-ri-a...

Śmierć najgroźniejszym wrogom żołnierza!

W październiku 1915 r. w biurze prezydenta krajowego sądu karnego we Lwowie zgłosił się p. Fr. Mossoczy, prezentując swój nowy wynalazek do tępienia robactwa, a zwłaszcza wszy, z prośbą, aby prezydyum pozwoliło mu odnośne próby przeprowadzić na więźniach.

Wynalazek ma być do pewnego stopnia tajemniczym amuletem, złożonym z dwóch płatków sukna, do którego wtarto jakiś promieniotwórczy metal. Płatki owe zawiesza się na szyi, nakształt szkaplerza.

Próby wypadły nadzwyczaj pomyślnie, co z całą stanowczością stwierdził lekarz więzienny Dr. Heffer. Mianowicie u osobników, opatrzonych torebkami, robactwo najpierw przestaje kąsać w przeciągu 24—30 godzin i mimo egzystencyi staje się nieszkodliwe; po trzech dniach zaczyna pomału ginąć, najpierw w najbliższem otoczeniu torebki, potem na odleglejszych częściach ciała. Nie pojawiają się już więcej, nawet u takich, którzy nadal zostaną bez zmiany bielizny, pościeli i ubrania, o ile jednak zbawiennych torebek nie odkładają.

Wynalazca uzyskał od zarządu więzienia urzędowe poświadczenie przeprowadzonych tam badań, zaopatrzone równocześnie w podpisy sześciu świadków.

Poza tem Dr. Heffer wystawił wynalazcy świadectwo lekarskie ze stwierdzeniem pomyślnego rezultatu odbytej próby, z dokładnym opisem, oraz zaznaczeniem, iż nie wywołuje ona żadnych, dla ogólnego stanu zdrowia, szkodliwych następstw.

Wynalazek p. Mossoczego, niezrównany pod względem prostoty i wygodny w użyciu, niekosztowny, dostępny dla każdego, mógłby znaleźć szerokie zastosowanie w pośród żołnierzy w polu.

W tym celu wyniki próby, wraz ze świadectwami, odesłane zostały do mi-

nisterstwa wojny do Wiednia, do lwowskiej strażnicy Legionów i do sanitarnych władz wojskowych.

Karol Benda.

Sosna.

Pamiętam sosnę mą rozpanoszoną,
Gdzie brzeg wyniosły nieruchomej rzeki,
Silną, nieczułą huraganom wieki,
Deszczom i śniegom wiecznie niewzru-
[szoną.

Gdy tam samotny stałem pod tą sosną,
Grały mi wichry na strunach gałęzi,
A serce moje rwało się z uwięzi
I rosło myślom, jak kwiaty gdy rosną...

Widziały wtenczas me oczy przy-
[mknione
Sny ciche, drogie i prawdzie podobne,
Ręce ujęły jakieś rączki drobne,
Usta tuliły usta rozpalone...

I takie długie chwile zamyślenia
Muzyka sosny niosła w cichym darze
I ukazała, co nikt nie pokaże:
Co kiedyś było... Wspomnienia, wspo-
[mnienia...

St. Falkiewicz.

Legenda.

Byli z tych, których nie śmierć szuka, lecz oni jej szukają. I znaleźli ją — bohaterską.

Za życia już otaczała ich auerola legendy po kompaniach i batalionach. Na długo przed zgonem płynęły po okopach i na biwakach powieści o nich, jak te płomienie w ognisku, miłością i dumą żywione. Bo gmin żołnierski rad wznosi na tarczę zachwytu i uwielbienia kochanków swoich. Tych, których ciągle przy sobie czuje, o których wie, że ich wszystkie, co do jednej, myśli i całą dusza nad nim ulatują, nim się pieszczą. Czuje, że to kość z jego kości, że to krew z jego krwi. I zawierza tym oczom zimnym, a tak miłującym, tym myślom bezsennym i temu sercu bez skazy.

Żołnierz policzył sumiennie każdy wasz trud i godzinę bezsenną, każdą kroplę krwi i wszystek wasz ból — i zawarł w szepcie legendy. I płynie płomienna opowieść po kolumnach w marszu, długiemi rowami na pozycyi, pieśnią i zadumą wykwita po kwaterach.

Młodzi — kochankami bogów byli. Znaleźli swoją śmierć. Kapitan Herwin-Piątek i porucznik Grudziński-Pększyc, w dniu zgonu kapitanem mianowany...

Dr. B. Merwin.

Smierć Legionisty.

... Przynoszą z pola Wilhelma Stollera, rodem ze Lwowa, Legionistę, ciężko rannego. Zegar szrapnelowy rozdarł mu piersi, pogruchotał. Spojrzał nań dr. Stefanowski, nałożył opatrunek, pogłaskał po głowie i odwrócił się do innych, czekających kolei. . Nie do wyratowania... Musi zemrzeć... Pożyje może jeszcze z godzinę...

A ciężko ranny chłopak leży przez jakiś czas cichutko, aż nagle krzyczeć poczyna:

— Pomagać!... Pomagać!... Pomagać!..

Smutnie spoglądają po sobie obecni. Pomagać. . Chłopcze, Tobie tu na ziemi nikt i nic pomódz nie może.

A on coraz chrapliwiej, coraz namiętniej krzyczy:

— Pomagać!... Pomagać!..

Przystępuje poraz wtóry dr. Stefanowski do noszy, na których chłopak leży, mówi kilka dobrych słów, głaszcze po głowie.

A on przeszywającym głosem wciąż:

— Pomagać!... Pomagać!...

Dr. Stefanowski: podać strzykawkę, zastrzykniemy na uspokojenie.

Wtem podchodzi sanitaryusz Wołoszczyński:

— Ja wiem, o co mu chodzi. On chce powiedzieć „pomodlić“, a może wydobyć z siebie tylko słowo „pomagać“.

I przyklęknąwszy przy noszach, poczyna swym dziewczęcym głosem:

— Ojcze nasz, któryś jest...

Oj—cze nasz, któ-ryś... — wtóruje cichutko uspokojony już chłopak, a błogi uśmiech wykwita mu na twarzy.

W sali opatrunkowej robi się cicho jak makiem zasiał. Słychać tylko anielski dwugłos: dziewczyny sanitaryusza i umierającego Legionisty.

— Bądź wola Twoja...

Bądź — wo—la — Two—ja... — powtarza za jedyną, która dziewczęcą intuicyą odgadła pragnienie jedyne umierającego.

Twarz jego robi się coraz pogodniejszą, głos jej coraz melodyjniejszym, cichszym. — Jakby na najcieńszą strunę nałożono tłumik... Gdy cichutko szepnęła „Amen“ — skonał...

Jan Ostachowski
Leg. IIgiej brygady.

My i Oni.

Ileż to razy siedząc na kolanach ojca, podczas długich wieczorów zimowych, słuchałem jego opowiadań o „Powstańcach“. Aż w jedną piękną letnią niedzielę, po długich naradach zebrało nas się czterech i poszliśmy na grób, daleko w las, za zamek. Serce biło mi jak młotem, gdy pomiędzy pnie starych drzew przesuwaliśmy się milcząc, by nas kto nie usłyszał i nie doniósł strażnikom, że idziemy na mogiłę „Powstańców“. A po drodze za każdym niemal drzewem złudzenie stawiało mi żywą postać: tam szara burka szlachecka mignęła i tylko długie sumiaste wąsiska na trwarzy widać i błyszczące przenikliwie oczy, a strzelba w ręku gotowa; tam błysk kosy, trzymanej twardą ręką chłopa w sukmanie.

Nareszcie! Stanęliśmy i zdjęli wszyscy odruchowo czapki: przed nami, omszały jak pnie sąsiednich drzew, wznosił się krzyż skromny, bez żadnego napisu.

Cisza leśna była zupełna, słyszałem wyraźnie bicie swego serca, a tak mnie coś straszliwie rwało do tych świętych kości, które tu przedemną, pokryte warstwą ziemi, leżały! Widziałem ich wszystkich czterdziestu z opowiadania ojca; widziałem wyraźnie ich roztrzaskane czaszki, przeszyte piersi i tych zwęglonych, co się popalili, widziałem także.

Teraz zdało mi się, że duchy ich tuż obok patrzą na nas. — Jeden z nas odszedł w bok i zaczął zrywać paproć i kwiaty, a wszyscy milcząc poszli za jego przykładem: wkrótce zrobiono duży wieniec, przyczepiono go do wierzchołka krzyża, a pod tym wieńcem małą kartkę, na której ołówkiem napisano: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Dużo ubiegło czasu, aż przyszedł rok 1914 i znalazłem się w strzeleckim mundurze, z karabinem w ręku, w szeregach. Dziwnie to jakoś było na duszy raźno, chociaż nie bez zamkniętego głęboko smutku, bo było nas mało.

A potem, w Karpatach, kiedyśmy torowali sobie drogę do Ojczyzny z Węgier — jakież przeróżne uczucia miotały nami! W chwili spokojniejszej wspominaliśmy z kolegami „Powstańców“ i widzieliśmy się w szczęśliwszych stokroć od nich warunkach, bo skrzydła naszej linii bojowej były armiami potężnych państw... Oni walczyli — sami... Nam rozum kazał milczeć wszystkim innym uczuciom oprócz pomsty-walki z wrogiem.

My na straży stać musimy nietylko krwawej linii boju, lecz także i linii serc naszych, by nie zapomniały one wielkiej tęsknoty do sławy życia w wolności.

My, by módz śmiało spojrzeć w oczy tym naszym ojcom, których groby z taką czcią odwiedzaliśmy w dzieciństwie, by mieć nadzieję przyjęcia do ich grona — na straży stać musimy myśli polskiej i nie dać jej dojść do rozkładu. Z jakiem wytężeniem woli stać powinniśmy na gruncie naszym. Nic nas nie zmieni! Nasze krwawe drogi przebywamy z utkwionym wzrokiem w poprzedników, a marzenia nasze i cele łączą się tylko z Tymi, co wolni umieją i chcą być. Z Tymi, co swojską tylko żyją myślą i z nią umrą, pozostawiając, jak „Powstańcy“, śpuściznę niepodległego ducha następnym pokoleniom.

Jan Pietrzycki.

Ułani z Rokitny.

Zamieszczamy poniżej piękny utwór znanego poety Jana Pietrzyckiego, przebywającego obecnie w Genewie i tworzącego tam swoje dźwięczne, bogate w przepych słowa,—poemata o Legionach.

Z ciał — z serc bijących — jeden krwawy [cmentarz,
Śmierć w bój ich wiodła, jako regi- [mentarz —
Co szablę w piersi nurzając pękniętej,
Krwią na armatach pisze testamenty...

I uchyliła śmiertelną przyłbicę,
Od kopyt końskich wstały błyskawice,
I wicher powiał horągwianym znakiem
I pole... krwawym się spłoniło szlakiem...

— O, wam nie leżeć w tej bolesnej [ziemi,
Ale skrzydłami gdzieś szumieć złotemi,
Na polach bitew — i na ognie nowe,
Nieść wasze szable, od krwi koralowe,
I nad szańcami sprawować gdzieś wartę,
Polskich aniołów bojowych.——

Ile wojen właściwie prowadzą obecnie mocarstwa?

Udział w obecnych wojnach bierze trzynaście państw, a mianowicie po stronie państw tak zw. „centralnych“ w Europie cztery, t. j. Niemcy, Austro-Węgry, Turcya i Bułgarya, a po stronie „aliantów“ dziewięć, t. j. Anglia, Francya, Rosya, Belgia, Monaco, Włochy, Czarnogóra, Serbia i Japonia.

Szczegółowo rachunek przedstawia się w taki sposób:

Niemcy prowadzą wojnę z 3-ma państwami (brakuje tu Włoch).

Austro-Węgry ze wszystkiemi 9 państwami strony przeciwnej.

Bułgaryą z 6 państwami, t. j. Rosyą, Anglią, Francyą, Włochami, Czarnogórą i Serbią.

Turcya z temiż 6 państwami.

Z przeciwnej zaś strony: Rosya z wszystkiemi 4 państwami „centralnemi“.

Anglia z temiż 4 państwami.

Belgia z 2 państwami: Niemcami i Austro-Węgrami.

Francya z 4 państwami.

Monaco z 2 państwami: Niemcami i Austro-Węgrami.

Włochy z 3 państwami: Austro-Węgrami, Bułgaryą i Turcyą.

Czarnogóra z 4 państwami.

Serbia z 4 państwami.

Japonia z 2 państwami: Niemcami i Austro-Węgrami.

Zliczywszy to wszystko, otrzymamy liczbę 58, ale ponieważ każda wojna, która się toczy, liczona tu jest 2 razy (np. angielsko-niemiecka i niemiecko-angielska), przeto liczbę tę musimy podzielić przez 2, ażeby otrzymać liczbę dotyczących się wojen.

Tym sposobem przyjdziemy do przekonania, że toczy się obecnie równocześnie 29 wojen.

Liczba ta łatwo może się zwiększyć jeszcze, skoro inne państwa zostaną wciągnięte w ten wir wojenny.

Wojenny balonik.

Strategik... do Kasi.

Ukochana moja Kasiu!
Nieraz sam się sobie dziwię,
Że ku Tobie zmierzam ostro
W tak gwałtownej ofenzywie.

Lecz nie moja w tem jest wina,
Że zostałem z Twojej strony
Oczu błyskiem, ust uśmiechem
Najformalniej oskrzydlony.

List ten niechaj będzie pieśnią —
Twych niebiańskich wdzięków — barda.
Jednocześnie mej miłości
To wymowna awangarda.

Uczuć szczerych szczere słowa
Ścielę dzisiaj Ci pod stopy;
Kiedyż Kasiu dobrowolnie
Swoje poddasz mi okopy?

Bo w przeciwnym razie przecież
Szturmem będę musiał wziąć Cię,
Wszak jedynym chcę zwycięzcą
Być na Twoim, Kasiu, froncie!

Feb.

Artur Prędski.

Po latach.

A kiedy już ucichną fale zawieruchy
I znów się rozpogodzą błękitem niebiosy
O dwiedzą was chwilami zmierzchu na-
[sze duchy,
Pochylą się przed wami, jako z wi-
[chrem kłosy.

Ujrzycie wtedy nagle jakieś chude ręce
Z tęsknotą błędną do was w smutku
[wyciągnięte,
W mroku izby wam twarze błysną pa-
[cholęce,
Znajome — i przedwczesną śmiercią
[swoją święte...

I usłyszycie w ciszy grobowej, co nagle
Spowijeizbę mroczną,jakiś głos tęsknoty,
Na serca wasze spadną, niby białe żagle.
Wspomnienia, przeszły urok, niosąc
[z sobą złoty...

To my, przychodząc do was w czas wie-
[czornych mroków,
Na dusze wasze kłaść się będziem uko-
[jeniem —
By choć na chwilę przedrzeć przykry
[cień obłoków,
Co was osnuły żalem — smutkiem
[i zwątpieniem!...

Halina Hohendlingerówna.

Przyjdź słońce!...

Przyjdź słońce!... Spójrz litośnie na
[tę ziemię czarną
I uderz swym promieniem w jej pierś
[z taką siłą,
By każde mocą twoją przebudzone ziarno
Tysiącem bujnych kłosów cię błogo-
[sławiło!

Przyjdź słońce! Rozbudź duchy, co le-
[niwie drzemią,
Co gnuśnieją daremnie w ziemskim
[brodząc pyle,
By się wzniosły ku tobie i szły ponad
ziemię,
Wielkie, jasne i święte w blasków
[twoich sile!

Przyjdź słońce!.. Rozgrzej serca, co zimne
[i twarde
Żyją tylko dla siebie życiem takiem
[marnem!
Usuń z nich precz dla bólów człowie-
[czych pogardę,
By świat cały objęły kochaniem ofiarnem.

Przyjdź słońce! Rozpędź chmurę, co nam
[niebo kryje,
O jutrzni Zmartwychwstania roześlij swe
[gońce!
Niech w potokach promieni twych
[wszystko ożyje!
Przyjdź, potęgo jasności, — o wszech-
[mocne słońce!

W polu.

(G. H.) Prawdziwą jest rozkoszą pochód przez zimowy las. Zapomina się o ruchliwym niepokoju frontu; porywa cię wspaniała samotność drzew.

Jak zakrzepli rycerze o poważnem obliczu — stoją tu jodły. Z niewieścio rozprzestrzenionemi ramionami czekają brzozy. Buki są smukłe — jakby młode dziewice. Z gracją pozdrawia cię wiąz.

Krzaki i zielska mają prześliczne śnieżne czepce. Jakby biało potynkowane pale wyglądają drogi, a nad zamarzniętem bagniskiem rozlegają się kroki jakby z przedpotopowej epoki.

Nie uczuwasz ciasnego horyzontu. Nad tobą nie unosi się śnieżne niebo. Nie widzisz szarych chmur. Tylko cudowne formy koron drzewnych zachwycają twój wzrok. Teraz, gdy żaden liść nie wisi na gałązkach, a lśniący śnieg silnie podkreśla ciemne linie konarów, gdy tak bez osłon widzisz „rusztowanie“ drzewa, zdaje się, jakoby ci drzewo otwarło wnętrze swej duszy. Samowolne, pełne sprzeczności struktury, a przecie rozwiązane w potężną siłę życiową. W gładkim śniegu widać zajęcze ślady.

Uschnięta gałąź łamie się pod twojemi stopami. Głośny trzask przestrasza cię. Mimowoli chwytasz za karabin i dopiero teraz przypominasz sobie — żeś jest żołnierzem.

Przygotowywanie szpiegów rosyjskich dla Szwecyi.

Przy przeszukiwaniu domu, w którym się mieściły biura Zarządu żandarmeryi u boku rosyjskiego Wojennego Generał-gubernatora Galicyi we Lwowie, zrobiono odkrycie, które rzuca światło bardzo znamienne na roboty przygotowawcze, a newet i plany dalsze rządu rosyjskiego.

A mianowicie znaleziono ilość pewną podręczników do nauki języka szwedzkiego.

Żandarmi we Lwowie musieli się uczyć po szwedzku!

Co to mówi? Oto nic innego, jak odsłonięcie dalszych planów rosyjskich, robienie systematyczne przygotowań do wyprawy na Szwecyę. W tym celu już zawczasu żandarmi rosyjscy musieli się uczyć po szwedzku. Raz dlatego, żeby jeszcze przed napadnięciem na Szwecyę wykonywać tamże funkcye szpiegowskie, a powtóre, by po inwazyi zjechać do Szwecyi i tak ją unieszczęśliwiać swojemi praktykami i żandarmskiemi i bandyckiemi, jak to robili w Galicyi.

To odkrycie podręczników do nauki języka szwedzkiego w biurach żandarmeryi rosyjskiej, buszującej po Lwowie, jak na pozór drobnostką w oczach ludzi, niedokładnie śledzących bieg polityki międzynarodowej. Naprawdę przecież owo odkrycie potwierdza przestrogi, głoszone przez Sven Hedina i innych wielkich patryotów szwedzkich, wskazujących na Rosyę jako na wroga, który się pozornie łasi i czuli, by pewnego poranka czy pewnej nocy napaść po zbójecku na Szwecyę.

Michał Peter.

Wdzięczność żołnierza.

(Obrazek z wojny współczesnej).

Są ludzie, którzy przypuszczają, że serce żołnierskie wyzute jest z pięknych i wzniosłych uczuć. A jednak to nie prawda. Przy całej prozie życia obozowego i całej rozpaczy życia w ogniu bitew — serce żołnierza bije po dawnemu i często okazuje swoją treść głęboką.

W gospodzie „Pod Skowronkiem“ siedzi za stołem grupka żołnierzy w towarzystwie dwu pań. To żony — Zugsführera i jednorocznego. Gromadka ta rozmawiała wesoło przy piwie o różnych epizodach wojskowego życia. Przy innych stołach równie pełno mundurów, a wszędzie znika alkohol, wprowadzając do rozmów podniecenie i wesołość. Izba jest duża, z niskim pułapem, napełniona dymem tytoniowym, z poza którego jaśnieją od pułapu lampki elektryczne.

Nagle wchodzi do izby jakiś starszy infanterzysta, z długim wąsem i wygoloną brodą, ubrany w piękny niebieskoszary mundur i w czapkę, zdobną kwiatami. To jeden z tych żołnierzy, którzy właśnie dzisiaj przybyli z miasteczka sąsiedniego do B, aby odjechać późnym wieczorem na wschód.

Och, ten wschód! Tam widać często na niebie czerwone szlaki, niby chmury. Znaczą one czerwień pożarów i krwi, co leje się na polskiej ziemi...

Przybyły nie rozglądał się długo. Zaraz dostrzegł szukanego przyjaciela i zakrzyknął:

— Zugsführer Marowski! Endlich find' ich Sie wieder! Wie geht's?

To mówiąc, uścisnął rękę przyjaciela i złożył na niej serdeczny, długi pocałunek.

Ze zdziwieniem wszyscy spoglądali na tę scenę. Przybyły Niemiec odnosił się do Marowskiego z czułością i szacunkiem i opowiadał mu w języku swych ojców, że po raz drugi właśnie wyrusza na boje. Przyszedł pożegnać kochanego Zugsführera i cieszy się, że go tak łatwo odszukał!

Marowski zajął się po przyjacielsku dawnym towarzyszem broni, zaprosił siadać, częstował i rozmawiał z nim łamaną niemczyzną.

Równocześnie objaśnił swojemu towarzystwu genezę przyjaźni z Niemcem. Oto razem byli na wojnie i razem walczyli pod Lublinem. Niemiec padł ranny w nogę i wił się w bezsilnej boleści. Wówczas nakazano szybki odwrót na inne pozycye i ranny wojak byłby wpadł niechybnie w ręce Moskali. Ale Marowski, dowódca cugu, zbyt cenił walecznego Niemca! Więc bez wahania zarzucił go sobie na bary i, za ręce przytrzymując, pospieszył w miejsce bezpieczne. Tam ranę opatrzył, obmył i obwiązał.

Tego czynu nie zapomniał poczciwy Niemiec i nie zapomni do śmierci. Teraz zaś domyślając się, o czem opowiada przyjaciel, dodał od siebie w niemieckim języku:

—Takiego człowieka, jak pan Marowski, niema drugiego na świecie! Ja życie mu zawdzięczam i nie wstydzę się rękę jego uczynną całować! Wtedy... strach targał piersiami każdego i wył, jak wicher w noc zimową. Przez stosy trupów cofali się nasi z pola do bezpiecznych okopów, potykając się często o ciała serdecznych druhów swoich. Nie schylił się żaden ku nim, bo chmara wrogów była już blizko, już, już nadbiegała; ale Marowski...

— Niech żyje Marowski! Daj Boże, abyś pan żył długo a szczęśliwie.

Cicho było w gospodzie. Wszyscy mieli wzrok utkwiony w rozognionej twarzy żołnierza. A głos jego dźwięczny brzmiał, jak uroczyste granie dzwonów... Tyle duszy w nim było, powagi i serca.

Artur Ćwikowski.

Atak.

— — — — — — — —

Był to pęd jakiś nieprzytomny, huragan dźwięku, huku, wycia, bezładny, ślepy i niezłomny, wydarty z kręgu życia. Nie, to nie jest szał człowieczy, co przez śmiertelne przejść chce próby: ciężkim rozmachem martwych rzeczy leciał pułk, w noc zaguby. Pamiętam wody chłód... Na chwilę związały myśli się przedziwa: oto w krąg ciemność, śmiercią żywa, przedemną jeszcze drogi tyle! Czy grzmoty dział? czy śpiewy słyszę? czy szumi złotych ptaków stado? czy giną wokół towarzysze? czym sam? czy biegnę w dal z gromadą? Czy wielki jest od wroga przedział? — Ani myślałem, anim wiedział. Nie słychać żadnych też rozkazów.... Naprzód! błysk światła noc przewierca... Naprzód! jak tłucze się dzwon serca... Wtem bezdenna ociężałość... niby zmęczenie, półomdlałość... Ulga — jak gdyby ogień wnętrza, rozerwał skóry już nabrzmiałość, jak gdyby jakaś sieć pajęcza, kładła na oczy cienie mroczne... Nie mogę dalej biedz... odpocznę. I osunąłem się na ziemię i położyłem dłoń na ciemię, które owiewał wciąż wiew ciepły; palce do włosów mi przylepły... Krew — choć nie widzę — po zapachu, po smaku poznam, bo się toczy, do ust przez czoło i przez oczy. I na tem polu, pełnem strachu, śmierci, płomiennych skier tumanów, przy ryku jakby stu wulkanów, wśród drżenia sfer, ginących jęku, raz wraz rażony blasku snopem, pod trzaskającym nieba stropem, już bez nadziei i bez lęku, — sam tylko w pieczy tego ducha, który modlitwy krwi mej słucha, jąłem brać chłodną glinę ziemną i chusty z nią na ramię kładłem... A potem w dziwny stan zapadłem, w nieczułość wszystkich władz... daremna. A rzeź czerwona dookoła, szerzyła pracę swą zdradziecką... A mnie chroniła dłoń anioła, mnie, com bezbronny był jak dziecko i nie dbał o kierunek lotu, pocisków, orających niwy — wtem dźwięk rozebrzmiał przeraźliwy: to grały trąby do odwrotu.

Maurycy Fux.

Przy kominku.

(Powiastka dla przyszłych pokoleń).

...Było to w roku 1914, kiedy na całym świecie straszliwa szalała wojna, jedna z największych, jakie pamięta historya. Wszystkie narody brały w niej udział, wszystkie państwa i stany. Od morza do morza lały się potoki krwi i łez, by wolność dać wzniosłym narodom, a dolę ich słonecznym opromienić blaskiem.

U stoków Karpat, niebotycznych gór, moskiewskie stanęły pułki, by wtargnąć w głąb kraju. A była ich moc nieprzeliczona, tyle, ile piasku w morzu, ile liści w nieprzebytym lesie i ile złego na świecie. Więc na obronę wysłał cesarz swoje liczne wojska, broń dając im dostatnią i odzież, iżby skutecznie bić mogli wroga.

A był w tem wojsku żołnierz jeden, nazwiskiem Jan Skorychłop. Tęgi to był człek, a zdrów, jak ryba. — Wszyscy parobcy we wsi mieli cześć przed nim, a dziewczęta to usychały z tęsknoty, kiedy się do której przybliżył.

Ten ci to Jasiek stał raz w pewną mroźną noc na warcie. Gdzie okiem sięgnąć, ciągnęły się nieprzebyte pasma gór, pokryte wiecznym, lodowatym śniegiem.

Cicha, księżycowa noc. Snieg prószy i prószy, wciska się jak natrętny gość w łupiny drzew i krzewów, stroi je w białą szatę i w fantastyczne układa obrazy.

Oto zdaje się Jaśkowi, że widzi swoją rodzinną wieś. Wszędzie tak biało, tak cicho . A matuś śpi tam w chacie... On widzi ją. Czy śpi ona naprawdę? Nie, to nie jest sen... Słyszy jak szepce w gorączce: Jasiu, synu ty mój...

A gwiazdki błyszczą tajemniczem światłem, zaglądając ciekawie w okna cichych domostw, nawet śmią dotykać swymi promieniami smukłej wieżyczki kościółka ..

I nagle — sen li to, czy jawa? Oto tam, na szczycie wieży jakaś postać stoi... W białych szatach, z odkrytą głową stoi i modli się...

Jak skamieniały patrzy Jasiek w górę, patrzy i słucha. I oto słyszy wyraźnie swoje imię:

— Jaśku, Jaśku!...

Jasiek dech w piersiach zaparł.

— Chcesz służyć Ojczyźnie?

Krew mu w żyłach zagrała. .

— Chcę, rzecze gorąco.

— Całem sercem, całą duszą?

— Tak mi dopomóż Bóg i uderzył się w pierś pobożnie.

A postać z wieży mówiła dalej:

— Więc uczyń ślub: Gdy staniesz do walki, bij się mężnie! A gdy trzech najznaczniejszych zobaczysz Moskali, w parze idących ze sobą, ujmiesz ich i w kajdanach przyprowadzisz do mnie. Pomnij na me słowa!

Zahuczał wiatr w przestworzach, rozwiały się płatki śniegu, zjawisko znikło. Jasiek został sam.

* * *

Przed wschodem słońca zagrzmiały armaty. Zagrała trąbka do ataku. — Z fantazyą pochyla Jasiek swój bagnet i pędzi naprzód. A w uszach szumią mu słowa: Chcesz służyć Ojczyźnie, chcesz służyć Ojczyźnie? Gwiżdżą kule koło niego, lecz on tego nie słyszy. Naprzód, naprzód, przez skrwawione ciała, przez zwały trupów!

I nagle — — —

Oczom swoim nie wierzy: Trzech opasłych Moskali rzuca mu broń pod nogi... A złoto się na nich świeci, że mu się aż oczy mrużą od tego blasku ..

Zakuł ich Jasiek w kajdany, tak, jak mu ów duch nakazał i prowadzi ich na miejsce, gdzie pełnił ostatni raz wartę.

A gdy północna wybiła godzina, zadrżały stoki Karpat, rozwarły swoje bezdenne czeluście i ze świstem porwały owych Moskali. Żar buchnął z

nieprzeniknionych głębin, aż łuna zabłysła nad okolicą.

Stoi Jasiek, patrzy i słucha.

A z wnętrza jakieś dziwne dochodzą go jęki... Słowa przekleństwa, rozpaczy...

— To piekło, pomyślał sobie i przeżegnał się nabożnie.

A gdy trzeci kur zapiał, zamknęły się czeluście i dzień zaświtał pogodny.

A był to wielki Dzień..

Dzień Odrodzenia i Chwały...

* * *

Jasiek z medalem na piersiach powrócił do domu, do swojej matuli i żył sobie długo, szczęśliwie..

Wiedeń, w lutym 1916.

Luna Mares.

Po długich latach.

Po długich latach niewidzenia
spotkali się dziś znów —
i na serdeczne pozdrowienia,
w tej chwili brak im słów. — —

Przed sobą wzajem odsłonili
swych dusz dziecięcą biel — —
po latach — w tej dziejowej chwili
wspólny ich złączył cel.—

Po latach znowu się spotkali,
— najśmielsze może z śnień — —
ażeby razem bić Moskali,
przyspieszyć Chwały dzień.

Czworonożni inwalidzi.

Wśród ofiar, jakie z koniecznej natury rzeczy pociąga za sobą wojna, zwierzęta zajmują jedno z najbardziej upośledzonych miejsc. Ludzie wiedzą przynajmniej, o co walczą, natomiast nawet najbardziej inteligentny koń nie może sobie zdać sprawy z ideałów, osładzających męki i trudy wojny.

W wojnie obecnej sytuacya koni stała się nieco lepsza, aniżeli dawniej. Osławiony „strzał z łaski“ przeszedł już prawie do tradycyi, raz dla oszczędzania kosztownego materyału, powtóre ze względów sanitarnych, aby na pobojowisku pozostawić jak najmniej trupów końskich. Obecnie jest „strzał z łaski“ dopuszczalny jedynie w tych wypadkach, w których nie może już być mowy o jakimkolwiek ratunku. Koń żołnierski nie jest wyścigowcem i jeżeli nawet po ukończonej kuracyi okaże się niezdolnym do służby wojskowej, to przecież jeszcze bardzo wielkie usługi może oddać jako koń roboczy na wsi. Dawniej, z powodu braku kolei i udoskonalonych środków lokomcyi, transport okaleczonych koni był prawie niemożliwy, obecnie wobec zmienionych warunków, można go dokonywać bez nadzwyczajnych kosztów i wysileń. Ranne konie ładuje się do wagonów i przewozi do specyalnych „szpitali“, istniejących w każdem większem mieście.

Oprócz ran zwykłych, pochodzących od szabli lub kuli, wykazują konie w stosunkowo wielkiej liczbie okaleczenia, których przyczyną jest bestyalstwo Rosyan. Aby po przegranej bitwie przeszkodzić pościgowi naszej kawaleryi, Rosyanie w ucieczce rozsypują za sobą — nieraz na bardzo wielkich przestrzeniach — kawałki żelaza, zaopatrzone w kilka ostrych, wystających ku górze na różne strony gwoździ, tak iż jakkolwiek w pospiechu rzucone, zawsze przynajmniej jeden gwóźdź mają zwrócony ku górze. Koń pędząc, nachodzi na gwóźdź i kaleczy się tak dotkliwie, że zaledwie kilkomiesięczna kuracya zdoła go uleczyć.

• HUMOR •

Jeniec. Oficer austryacki wypytywał jeńca rosyjskiego o stosunki i nastrój, panujący wśród armii rosyjskiej. Na to odpowiada jeniec: U mnie już po wojnie!...

Luna Mares.

List.

I duszę moją szarpią sny,
Przeczucia złe, złowieszcze,
Że nieraz oko perłą łzy,
Przechodzą dziwne dreszcze...

A jednak umię rzucić żal,
I snów porzucić mglistość,
I duszą lecę w mroźną dal,
Gdzie smutna rzeczywistość...

Do Ciebie wtedy mężu mój
Ulata myśl ma smutna...
Bo porwał Cię straszliwy bój
I walka ta okrutna...

I wierzaj drogi mężu Ty,
W te słowa me najłzawsze...
Przy tobie są me myśli, sny,
Przy Tobie jestem zawsze...

„Wyrwa“

„Wyrwa“! — „Wyrwa“!

»Wyrwa“ — to imię czarodziejskie, które dźwiga setki śmiertelnie zmęczonych Legionistów pierwszego pułku — imię, na którego dźwięk oczy się żarzą szalonym zapałem, nadzieją zwycięstwa, otuchy i miłości.

„Wyrwa“ — to hasło sławy, bohaterstwa, trudów, zapału wiary i szaleństwa.

„Wyrwa“ to miłość żołnierska — hart spartański, miłość ojczyzny — uśmiech zawadyacki!

„Wyrwa“ — to „żelazna brygada“ — czwarty batalion — miłość całego pułku.

„Wyrwa“ — to bitwa pod Brzegami — obrona Winiar i Ksan, szalony, w kronikach niepamiętny marsz na Warszawę, dwutygodniowa zacięta obrona Pilicy i Bud Michałowskich. „Wyrwa“ — to Krzywopłoty.

„Wyrwa“ — to kochanek pieśni żołnierskich — naiwnych, szczerych — prostych, jak ten człowiek — to dziecko-żołnierz — bohater — wódz.

...„Gdy Moskala gdzieś tam zoczy,
husia susia — husia — sia.
Wnet na koniu swym podskoczy,
husia susia — husia — sia.
I szabelką swoją małą
Wciąż wywija w lewo, w prawo...
Na okopy wiedzie nas...
... Tra-ra-ra, wal Moskali póki czas...
Tra-ra-ra, na bagnety chłopcy wraz...
Tra-ra-ra, ciesz się bracie, gdy masz czas,
Gdyś do „Wyrwy“ wlazł...

Piosnki tego rodzaju proste, żołnierskie płyną — płyną, niosąc hen w dal to imię ukochane — miłość Legionu, sławę polskiego kapitana, co w podartych butach, w zniszczonym mundurze, o chłodzie i głodzie niesie wysoko sztandar żołnierza polskiego — sztandar bohaterstwa i czynu.

Czy można uśmiercić pozornie zmarłego?

W pewnej gminie szwajcarskiej miał się właśnie odbyć pogrzeb pewnego obywatela, którego śmierć stwierdził lekarz miejscowy, gdy nagle w ostatniej chwili „zmarły“ otworzył oczy i o własnej mocy wstał z trumny.

Ten wypadek sprawił, że jedno z medycznych pism fachowych zajęło się obszernem oświetleniem kwestyi pozornej śmierci ze stanowiska naukowego i prawnego. Pewien człowiek, który sam przeżył wypadek pozornej śmierci, wyraził w testamencie życzenie, aby bezpośrednio po jego śmierci lekarz wstrzyknął mu silną dawkę trucizny, jako środek zapobiegawczy przeciw letargowi. Z kwestyi powyższej wyłania się pytanie, czy lekarz może to uczynić? W rzeczywistości są w podobnym wypadku dwie ewentualności możliwe: albo testator umarł faktycznie i wtedy wstrzyknięcie trucizny stanie się zbytecznem, albo żyje jeszcze, pomimo pozornej śmierci i wtedy trucizna wywrze swój skutek, tj. zatruje żyjącego.

W tym ostatnim wypadku lekarz dopuściłby się kryminalnego przestępstwa. Według zdania autora rozprawki, dałoby się to obejść w ten sposób, że przy badaniu zmarłego lub pozornie zmarłego, należałoby dokonywać zabiegów takich samych, jak przy balsamowaniu. Do tego potrzeba wprawdzie specyalnego pozwolenia władzy.

Roman Hernicz.

Pamiętnik żołnierza wielkiej wojny.

(Ciąg dalszy.)

Po półgodzinnem strzelaniu artyleryi — pokryło się wzgórze brunatnemi postaciami pierzchających w nieładzie nieprzyjaciół. — Piechota nasza wzięła ich setki do niewoli. To był doprawdy dobry dzień.

XI.

Życie w okopach ma pewne momenta radosne. Humor dyabelny, szubieniczny — panuje wtedy w całej pełni. Ot na przykład: Rów strzelecki z wałem, w którym porobione są wgłębienia na karabiny. — Karabiny leżą gotowe do strzału, na którym bagnet nasadzony, by lubiącego podchodzić nocą „batiuszkę“ było czem do odwrotu poprosić. Do rowu strzeleckiego przylegają „dekunki“ czyli „wile“ oficerów i żołnierzy — a cała przestrzeń, jakby podrapana jakimiś potężnymi pazurami. Z kominów piecyków polowych, w „dekunkach“, wydobywają się iskry i płomienie — czasami i pożar się zdarzy, gdy mieszkańcy „dekunków“ wyjdą — a od silnie rozpalonego pieca słoma się rozpali. Nie pomoże tutaj gaszenie, — wody niema, drzewo i słoma suche. — Biedni tacy pogorzelcy, bo zamiast wypocząć — muszą się całą noc „odbudowywać“. Okolica cała biała — cudowna, jasna noc, a widać wszystko, jak w dzień. Siedzimy w okopach i podziwiamy tejemniczy księżyc. — Naraz ktoś proponuje, byśmy złożyli wizytę komendantowi naszej kompanii. Projekt znalazł zwolenników. — Wchodzimy przez drzwi, zabrane z jakiegoś opustoszałego domu, na których umieścił ktoś dowcipny napis: willa „Wanda“. „Dekung“ przedstawia małą izdebkę z okienkiem, piecykiem, stołkiem i pryczą do spania. Zastajemy naszego komendanta przy pracy — nie przeszkadzamy mu — i przechodzimy wzdłuż rowu strzeleckiego. Wchodzimy do innego „dekungu“, w którym mieszka dwóch wachmistrzów — plutonowy i kapral.— Urządzenie to samo, — tornistry wiszą na ścianach. W „dekungu“ ogromna radość. — Bo oto ktoś znalazł harmonikę i wygrywa marsze. Ktoś proponuje: „Chodźmy z muzyką do innych plutonów“. Wszyscy wychodzą, — do nich przyłącza się jeszcze kilku ludzi — i cała gromada idzie wzdłuż rowu strzeleckiego. Ostrożniejsi przestrzegają, by w drodze nie grać i nie iść wierzchem, — ale nikt nie słucha. Posuwamy się dalej. Moskale, jakby wymarli, — nie padnie ani jeden strzał, choć nas widać jak na dłoni! Jakiś figlarz kompanijny proponuje, — by urządzić „szopę“ czwartemu plutonowi. Rychło plan gotowy: Obok domku, stojącego za naszymi okopami, stoi t. zw. przodek od wozu. — Figlarze przymocowują między kołami okrągłą belkę, która z oddalenia wygląda jak armata. Zaprzęgają się do „armaty“,— czterej ludzie, jako konie — obsługa ustawia się obok — i wszystko galopuje do czwartego plutonu. Armata w galopie nadjeżdża — komendant krzyczy: „Feuerstellung“ — „konie“ wykręcają armatę lufą do „nieprzyjaciela“ — ludzie, którzy są przeznaczeni do obsługi „koni“, odprzęgają je i odprowadzają — „Beobachter“ wybiega naprzód i lornetuje przez rękaw od bluzy „nieprzyjacielskie“ pozycye. — Pada komenda: 3000 metrów — granat — ognia... Kaskada śmiechu — radosnych okrzyków, rozległa się, gdy figiel wyszedł na jaw. I takich chwil wesołych jest dużo. Tylko raz po raz smutna myśl, że jutro znowu wczesnym rankiem zacznie się zwykły dzień bitwy w okopach...

XII.

Jest znak, po którym, jak po pojawieniu się czajek nad falami morza przed burzą, odgadnąć można teren wydarzeń wojennych. Znak ten wyklucza możliwość omyłki i człowiek, który już czas jakiś zżył się z wojną,— przy pojawieniu się tego symptomu,— wie stanowczo, że w tej lub owej części „frontu“, rozpoczną się niebawem bitwy. Gdy tylko na drogach pocztowych, na traktach powiatowych, na szosach, biegnących w dal bez końca, pojawiać się zaczną najpierw pojedynczo, — potem po dwie, trzy i więcej i coraz częściej chłopskie fury, zawalone domowymi skarby — znaczy to, że gdzieś może jeszcze bardzo daleko,— toczy się bitwa. Wiem przecie, że nikt nie uprzedza mieszkańców, bo skrytość współczesnego prowadzenia wojny nie dopuszcza tego. Ale głuchy instynkt samozachowawczy, podniecony naprężonemi, przez nieustanną trwogę wojenną nerwami, — bez omyłki podszeptuje naszemu chłopu konieczność ucieczki przed grzechotem karabinów, hukiem wybuchających pocisków i całą tą straszną, okrutną grozą wojenną. Istnieje jakaś tajemnicza, nie podlegająca żadnej naukowej metodzie badania, instynktowi tylko dostępna, logika wydarzeń. Charakteryzują ją w popularnej formie takie znane określenia, jak: „cisza przed burzą“. — Chłop nasz, związany trudami życia z żywiołami przyrody, — umie, — nie zdając sobie z tego sprawy, łowić oznaki zmian wszelkich na długo przed ich urzeczywistnieniem. Rozumię tę walkę wewnętrzną chłopa, gdy decyduje się opuścić, zagrodę swoją. — Rozumię jego mękę — gdy patrzy na pola — z myślą, że to może po raz ostatni, pieści się tym widokiem. Staje chłop nasz na progu chałupy i z trwogą patrzy, jak idą żołnierze, wiją się obozy, szybko mknie sztabowy samochód, artylerya dudni pobrzękując żelaziwem, pełzają kuchnie polowe, — z powagą jadą wysoko naładowane samochody ciężarowe, — niby ogromne domy. Chłop nasz wtedy decyduje się — i szepce ponuro do siebie: — Czas uchodzić! I po szosach powiatowych, po traktach pocztowych, po traktach gruntowych — jak czajki na falach morskich przed burzą, ciągną po jednej i po dwie — coraz częściej i gęściej — długie fury — a na nich dobytek krwawych lat — chłopa naszego.

XIII.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia maszerowaliśmy przez dzień cały bez przerwy. Nie było wielkich zasp śnieżnych; cała jednak okolica, pokryta była białym całunem. — Kiedy nadszedł zmrok, znaleźliśmy się na wązkiej ścieżce, — wijącej się wśród niebotycznych gór. — Późnym wieczorem przybyliśmy na szeroką — dolinę. Tuż obok, przy gościńcu, stała skromna z kamienia i cegły zbudowana kapliczka, mieszcząca w sobie obraz Matki Boskiej. Z pierwszych szeregów naszego oddziału wyszedł jakiś żołnierz, podbiegł do kapliczki, oczyścił ją, a następnie wydobywszy małą świeczkę, zapalił ją ostrożnie i ustawił przed obrazem. W ślad za nim poszło wielu innych żołnierzy, tak, że po upływie kilku minut cała kapliczka tonęła w blasku zapalonych świec. Kiedy wreszcie brakło miejsca na świeczki w kapliczce, poczęto ustawiać światło — u stóp jej wśród śniegu. Za chwilę płonęło ich już dziesiątki, tworząc na tle białego całunu i ciemnej nocy prześliczny, pełen niewysłowionego powabu i tajemnego piękna, widok. Przystanęliśmy wszyscy bez wyraźnego zresztą rozkazu. Ciche łzy zabiegły w naszych oczach. Z piersi naszych wyrywały się żałosne, bolesne westchnienia. Myślą przenosiliśmy się do rodzin naszych i domów... Ruszyliśmy dalej... Co kilka kroków oglądaliśmy się za siebie, zachwyceni i wzruszeni przecudnym widokiem. Począł padać śnieg drobny, który zwolna tłumił płonące światła. (C. d. n.)

Od Administracyi.

Z dniem dzisiejszym wprowadzamy nową rubrykę **„Poszukiwania zaginionych“.**

Rodziny szukające żołnierzy mogą skierować do nas zapytania, dołączając **2 korony** za druk jednorazowy.

Abonenci nasi płacą tylko **1 k. 50 h.** Rezultat ogłoszeń podobnych w naszem piśmie jest zapewniony, bo „Pozdrowienia żołnierskie“ rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy i dochodzą do najodleglejszych krańców, gdzie tylko stopa żołnierza Polaka postanie. Sądzimy więc, że Czytelnicy nasi mile przyjmą tę innowacyę.

Należytość wraz z tekstem prosimy przesyłać pod adresem: **Starko Łodzia Lachowicz, Wien, III., Weißgärberlände 50.**

Poszukiwania zaginionych.

Ogłoszenia po 2 korony, płatne z góry.)

J. Turko, wachmistrz żandameryi, prosi o wiadomość o bracie swoim **Mikołaju Turko**, który służył od wybuchu wojny przy 10. pp., 13. komp.

Jul. Ferd. Manczura prosi o wiadomość o synu swoim **Georgu Manczurze**, szeregowcu 59. pp., który walczył w październiku w okolicach Lublina.

KRONIKA

Ponowne odznaczenie szefa sztabu Legionów. Kapitan Włodzimierz Zagórski, przed miesiącem odznaczony wysokim orderem żelaznej korony 3. kl. z dekoracją wojenną, otrzymał 1. bm. niemiecki krzyż żelazny 2. klasy. Jest to już trzecie z kolei, podczas bieżącej kampanii bojowej, odznaczenie szefa sztabu Legionów polskich za znakomitą służbę w polu.

W poprzednim numerze pisaliśmy obszernie o pani Eleonorze Poschenowej, delegatce Samarytanina polskiego z ramienia tow. „Biały orzeł.“ Dziś dodajemy, że otrzymaliśmy wiele listów z serdeczną podzięką dla pani Poschenowej. Listy te pisali Legioniści i żołnierze, ranni dziękując jej za prawdziwie matczyną opiekę i serce matczyne.

Utwory poetyczne pt. „A gdy będziesz wracać Stachu“, pióra Haliny Hohendlingerównej i „List z niewoli“, chorążego Wilhelma Habera, umieszczone w Pozdrowieniach żołnierskich, przedrukowało wiele pism między innemi: „Gazeta polska“, „Dziennik Bydgowski“ i „Gazeta toruńska“.

Nowa książka pt. „O Polsko, Polsko ukąpana w krwi“, napisana przez Romana Hernicza, redaktora naszego pisma, wyszła w bieżącym tygodniu nakładem „Nowej Biblioteki Polskiej“.

„Kuryer polowy“. Pod tym tytułem zacznie wychodzić w Lublinie pismo przeznaczone dla żołnierzy polskich, pod redakcyą znanego i cenionego dziennikarza Zenobiusza Kozłowskiego, pełniącego obecnie służbę wojskową w Lublinie.

Rycerskość Turków. „Times“ zamieszcza następujące opowiadanie pewnego oficera angielskiego, ranionego koło Ktesifonu: Statek angielski z 300 rannymi Anglikami i kilkunastu lekarzami utknął na mieliźnie na rzece Tygrys. Ponieważ byliśmy w odwrocie, trzeba było statek porzucić i wpadł on w ręce tureckie. Turcy zdołali go jednak uruchomić, puścili go dalej na rzekę pod białą flagą i wraz z całą załogą odstawili go do angielskiego obozu.

Odpowiedzialny redaktor: R. Haber. — Drukiem J. N. Vernaya w Wiedniu, IX., Canisiusgasse 8—10. — Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.